Anna Fligel
Uniwersytet Łódzki

Zapiski z Paryża. *Rozmyślania o obcym*

Kilka miesięcy po tragicznych wydarzeniach w Paryżu, kiedy cały świat ponownie zamarł w przerażeniu, że znowu fundamentalistyczna żądza nienawiści, zemsty i karania wzięła górę, wydaje się, że miasto wróciło do normy. Tętni życiem za dnia i w nocy. Pierwsze pytanie, jakie mi się nasunęło z chwilą, gdy postawiłam stopę na paryskiej ziemi, otoczona tłumem najróżniejszych ludzi, zabrzmiało w mojej głowie: czy można żyć w tym mieście, nie będąc zarazem przynajmniej po trosze kosmopolitą i multikulturalistą, lub mówiąc odwrotnie, czy można żyć w tym mieście, będąc na przykład narodowcem, ksenofobem czy rasistą.

Wydawać by się mogło, że „szeregowy" paryżanin po wydarzeniach ze stycznia, a następnie listopada 2015 roku, powinien stać się kimś właśnie takim, przynajmniej do pewnego stopnia. Tak mi się wydawało z perspektywy Polski, muszę niestety rzec, od pewnego czasu jawiącej się niekiedy jako zaścianek Europy, przynajmniej z mentalnego punktu widzenia. Taką ocenę i spojrzenie kształtują u nas głównie media, zwłaszcza wyrażane w nich opinie niektórych aktualnie rządzących populistycznych polityków. Często będąc pod dyktatem albo własnego elektoratu, albo – co gorsza – własnej ciasnoty intelektualnej, nie są oni w stanie na chłodno oceniać sytuacji. Jednak przede wszystkim dopuszczają się jednego z najczęściej popełnianych w takich okolicznościach błędów, a mianowicie błędu nieuprawnionej generalizacji.

Rzeczą oczywistą jest, że patrząc na świat z innej perspektywy, zwłaszcza z wewnątrz, postrzegamy go inaczej, czasami nawet zgoła odmiennie. Pod warunkiem oczywiście, że staramy się być otwarci. Paryż wydał mi się miejscem wyjątkowym, żeby nie powiedzieć osobliwym. Wyjątkowość ta wynika nie tylko stąd, że miasto to jest po prostu piękne, ale także stąd, że Paryż nie jest przestrzennym molochem (jego powierzchnia to raptem 105 km², dla porównania Londyn zajmuje 1572 km²). Stąd bardzo łatwo się w nim odnaleźć i poczuć swobodnie. Do tego komunikacja publiczna, zwłaszcza metro, jest bardzo rozbudowana i łatwo dostępna. Ta osobliwość, jak sądzę, wynika jednak zwłaszcza

stąd, że multietniczność, multinarodowościowość, multikulturowość są tam faktem tak wszechobecnym i urzekającym, jak sama uroda tego miasta. Chciałoby się powiedzieć wprost, że zjawiska te, obserwując je tam, bezpośrednio, od wewnątrz, nie jawią się jako coś negatywnego czy coś złowieszczego, czy tym bardziej coś złego.

Spacerując ulicami, jadąc metrem czy autobusem i obserwując ludzi, ma się wrażenie, że dla paryżan współistnienie z ludźmi o odmiennym kolorze skóry, odmiennej kulturze, religii jest czymś tak naturalnym jak fakt, że trzeba oddychać.

Po atakach z listopada zeszłego roku prezydent Francji François Hollande ogłosił, że wypowiada wojnę Państwu Islamskiemu. Jednocześnie paryżanie różnych narodowości gromadzili się w pobliżu miejsc zamachów, by oddać hołd zamordowanym, by się za nich modlić oraz jednoczyć w bólu z ich rodzinami. W Polsce w tym samym czasie dominowały dwa przesłania: „doigrali się za swoją otwartość, tolerancję i akceptację multikulturowości", „my do tego nie dopuścimy!". Muszę przyznać, że ciasnotę intelektualną i światopoglądową, jaka zaczęła u nas od jakiegoś czasu dominować, przychodzi mi znosić z wielkim trudem. I to pomimo mojego głębokiego poczucia, że jestem Polką, i pomimo tego, że odczuwam w związku z tym dumę. Uświadomiłam sobie to jeszcze mocniej właśnie w trakcie mojego pobytu w Paryżu w związku z konferencją nota bene poświęconą Shmuelowi N. Eisenstadtowi i jego *multiple modernities theory*, czyli teorii zwielokrotnionych nowoczesności[1]. (Jest to koncepcja traktująca m.in. o ogromnej pluralności, różnorodności w świecie współczesnym i potrzebie sformułowania odpowiedniej na nią odpowiedzi).

Mój żal i zniechęcenie wiąże się również z dominującym w ostatnim czasie w Polsce kierunkiem dyskusji na temat patriotyzmu. Zaczęło mianowicie wodzić prym absurdalne przekonanie, że patriotą jest tylko ten, kto jest narodowcem (by nie powiedzieć nacjonalistą). W przeciwnym razie stajemy się wrogiem Polski. Populistyczna paplanina w sprawie polityki imigranckiej, głęboko przepełniona negatywnymi emocjami w stosunku do wszystkiego, co obce, w duchu sloganu „Polska jest dla Polaków", jest po prostu odrażająca.

Sądzę, jak zresztą wielu, że problem imigracyjny, który nasilił się na szeroką skalę z końcem sierpnia minionego roku, jest wyjątkowo poważnym i trudnym wyzwaniem dla Europy. Podczas rozmowy z prof. Gerhardem Preyerem z Uniwersytetu Goethego we Frankfurcie nad Menem oboje jednym głosem stwierdziliśmy, że zamknięcie granic Europy stało się już koniecznością, gdyż skala migracji przeradza się w sytuację nie do podźwignięcia dla Europy. Tym niemniej otwartość na tych wszystkich, którzy dotarli tutaj i potrzebują pomocy, powinna dokonywać się w duchu solidarności między krajami naszego kontynentu, a zwłaszcza między krajami Unii Europejskiej. W tej kwestii – w sposób szczególny – kraje UE powinny mówić jednym głosem, myśląc o dobru wspólnym całej Europy, inaczej – jak się wydaje – nie wybrniemy z tej sytuacji cało.

[1] Międzynarodowa konferencja pt. *Legacies of Sh. N. Eisenstadt. From Philology to Sociology* została zorganizowana przez Université Sorbonne-Paris-Cité w ramach interdyscyplinarnego programu „Sociétés plurielles" i odbyła się 26–27 stycznia 2016 roku (program konferencji zob. https://www.academia.edu/19847870/Legacies_of_Shmuel_Noah_Eisenstadt_From_Philology_to_Sociology_final_program_ – dostęp: 15.02.2016). Organizatorzy zapowiedzieli publikację pokonferencyjną.

Dominująca w Polsce retoryka w sprawie imigrantów m.in. z Bliskiego Wschodu zdaje się odnosić kwestię przede wszystkim do zagrożenia terroryzmem. Zagrożenie to istnieje, i nikt rozsądny temu nie przeczy. Tym niemniej skala realnego zagrożenia to sprawa jedna, zaś tworzenie swego rodzaju zasłony dymnej dla czegoś zupełnie innego to sprawa druga. Chodzi mianowicie o permanentny strach przed obcym, co głęboko związane jest z ksenofobią i nietolerancją, przejawiającymi się niekiedy wręcz nienawiścią. Nasuwa się w tym miejscu pytanie, dlaczego Polacy tak powszechnie nie lubią innych, zwłaszcza tych bardzo odmiennych, mających inny kolor skóry czy wyznających inną religię. Uproszczona odpowiedź brzmi: „bo obce zawsze budzi strach". Ale czy obce musi być obce, czy nie można rozpoznać tego obcego i oswoić się z nim, jak to się stało we Francji, a zwłaszcza w Paryżu. To miasto jest miejscem gdzie właśnie obce zostało oswojone, przynajmniej w skali makro, tzn. na poziomie życia codziennego, powszednich relacji międzyludzkich, ogólnej akceptacji i poszanowania. Ludzie nauczyli się tam żyć w kompletnie multietnicznej wspólnocie, i przyznam, że gdybym miała użyć w tym kontekście kategorii estetycznej, powiedziałabym, że odkryłam w tym piękno. Tak jakby niemożliwe stało się możliwe. Przebywając w auli wykładowej Uniwersytetu Sorbona, reprezentowanego w trakcie wspomnianej konferencji przez trzy osoby, każda odmiennej narodowości (żadna źródłowo francuskiej), doliczyłam się co najmniej siedmiu etnicznie odmiennych nacji. Jadąc metrem, miałam wrażenie, że w jednym wagonie są reprezentanci „wszystkich" zakątków całego globu. Ktoś się do mnie spontanicznie uśmiechał, ktoś coś tłumaczył zagubionemu turyście, młodzi mieli oczy wlepione w smartfony, nikt nie wydawał się odczuwać jakiegoś strachu czy lęku przed odmiennością, ona tam zdaje się całkowicie oswojona.

Rozmawiałam na temat sytuacji w Paryżu z Vincenzo Cicchellim – socjologiem z Uniwersytetu Paryskiego, Włochem mieszkającym we Francji od dwudziestu pięciu lat[2]. Był on uprzejmy wyrazić swoją szerszą opinię na temat interesującego mnie tu fenomenu i powiedział:

„Ktokolwiek miał okazję przebywać we Francji, mógł zaobserwować, jak ten kraj stał się de facto multikulturowy. Długa francuska tradycja przyznawania azylu uchodźcom politycznym, kolonialna przeszłość, procesy europeizacji wytworzyły w ostatnich stu pięćdziesięciu latach społeczeństwo składające się z jednostek, mających po części korzenie obce, sięgające jednego lub kilku pokoleń wstecz. Ponadto społeczeństwo francuskie doświadczyło w ciągu ostatnich trzydziestu lat potężnej wymiany kulturowej, na skutek czego przestrzeń kulturalna życia codziennego, taka jak kino, muzyka, serial itd. pełna jest elementów o proweniencji obcej. Pochodzą one ze Stanów Zjednoczonych, Japonii, Indii, Brazylii itd. Kuchnia francuska, powszechnie uznawana za ogólnoświatowe dziedzictwo ludzkości, otworzyła się na najróżniejsze obce wpływy.

[2] Prof. Vincenzo Cicchelli jest autorem i współautorem bardzo wielu publikacji naukowych (zob. https://univ-paris5.academia.edu/vincenzocicchelli – dostęp na dzień 15.02.2016). W ostatnich latach skupił się zwłaszcza na badaniach nad różnymi wątkami z zakresu kosmopolityzmu. W 2012 roku spod jego pióra wyszła ważna z tego zakresu książka pt. *L'esprit cosmopolite. Voyages de formation des jeunes en Europe* (wyd. przez Presses de Science Po). W marcu 2016 roku ukazała się zaś jego *Pluriel et commun. Sociologie d'un monde cosmopolite* (nakładem Presses de Science Po).

Zjawiska te obserwuje się wyraźniej w aglomeracjach miejskich, a w sposób szczególny w Paryżu, gdzie koncentruje się ludność dynamiczna, wykształcona, młoda, mobilna, otwarta w sferze zwyczajów kulturowych i bardzo często o odmiennych korzeniach narodowościowych.

Czy to wszystko wystarcza, by uznać Francję za kraj multikulturowy? Jeśli chodzi o stan faktyczny, to na pewno tak, co się zaś tyczy reprezentacji i dyskursu publicznego, to kwestia wciąż wygląda nieco inaczej. Jest pewien ważny element, który działa z istoty na rzecz Francji jako kraju multikulturowego, a który niekiedy się ignoruje, a czasami nawet neguje. Chodzi o polityczny paradygmat Republiki (*République*). Zgodnie z nim wszelka uprawniona relacja między jednostką a społeczeństwem musi mieć charakter bezpośredni, czyli wyklucza się pośrednictwo ciał w postaci m.in. partykularnych kultur. W przeszłości były nimi na przykład kultury regionalne, w teraźniejszości są zaś kultury obce. Nie dziwi więc fakt, że laickość stała się jednym z pilastrów *République*. Ona sama implikuje traktowanie osoby jako obywatela, który praktykuje swoją religię oraz wyraża swoje wartości religijne w kręgu prywatnym, zatem bez ich demonstrowania w przestrzeni publicznej. Pojęcie obywatela chce być uniwersalistyczne, a więc oderwane od partykularnych związków, które mogą ingerować w relacje między obywatelem a państwem.

A co ze słowem *wspólnota* zakazanym we francuskim dyskursie politycznym? Z tego punktu widzenia nadmieniony francuski paradygmat republiki budzi pewne wątpliwości. Zwłaszcza ostatnio i zwłaszcza pośród tych, którzy uważają, że ten paradygmat w istocie prowadzi do tego, że kulturom partykularnym, których imigranci są nosicielami, odmawia się uznania. Nawet jeśli w całościowym zarysie Francja pozostaje jednym z najbardziej świeckich państw, a jego różnorodna populacja jednym z najbardziej zintegrowanych społeczeństw, nie da się oczywiście zaprzeczyć temu, że wciąż, przynajmniej niektóre z frustracji tego społeczeństwa pochodzą stąd, iż jego członkowie czują się ofiarami dyskryminacji wynikającej z przynależności etnicznej lub religijnej.

Pewien zwrot ku antysemityzmowi, dość silna islamofobia, radykalizacja młodzieży znowu przybrały na znaczeniu głównie za sprawą jednej ze skrajnie prawicowych partii. W moim przekonaniu jednak jest to w istocie tylko okazja, by ponownie pochylić się nad modelem republikańskim i przeprowadzić badania nad nowymi alternatywami rozumienia wspólnego życia. Istnieje argument na rzecz tego, że z refleksji nad relacją multikulturalizm–republika musi wyłonić się bardziej dojrzałe i bardziej świadome spojrzenie kosmopolityczne, które pozwoli na myślenie o tym, co uniwersalne, i o tym, co partykularne w sposób równoczesny i dialektyczny”[3].

Państwo świeckie, państwo republikańskie, państwo obywateli, którzy mogą się na różne sposoby między sobą różnić, a jednak mają prawo do bycia obywatelem kraju, a obywatelskość ta nie znosi przymiotnika „lepszy lub gorszy sort” – oto pewien ideał, który we Francji, przynajmniej w skali makro został osiągnięty. Cicchelli, jak mogliśmy przeczytać, nie ukrywa pewnych ważnych problemów i ich skutków. Ale zdaje się ich

[3] Przekładu z języka włoskiego dokonała Anna Fligel.

źródła upatrywać i odnosić do celowych działań określonych opcji politycznych. Historia pokazała nieraz, że silna propaganda jest w stanie zdziałać bardzo wiele. Tym bardziej jeśli u jej podłoża leży myślenie w kategoriach fundamentalizmu. Pamiętajmy, że fundamentalizmem nazywamy każdy rodzaj myślenia, który nie znosi sprzeciwu, który uznaje, że istnieje jedna i tylko jedna absolutna prawda, tzn. nasza prawda. Fundamentalizmem więc nazywa się nie tylko działania, skądinąd ze wszech miar złe, jakich dokonują na przykład terroryści Państwa Islamskiego, ale też ci wszyscy, którzy w imię na przykład abstrakcyjnej czystości narodu sieją nienawiści i jej uczą. A to jest niestety udziałem wielu skrajnie prawicowych działaczy politycznych w różnych zakątkach Europy, oczywiście o różnym stopniu nasilenia.

Często spotykany w Polsce strach przed obcym już doprowadził do retoryki niekiedy ocierającej się o nacjonalizm z piekła rodem, by nie nawiązać do niemieckiego nacjonalizmu sprzed drugiej wojny światowej. Niech ktoś mi powie, że to już przesada, a ja mu odpowiem, że historia potwierdza fakt, że skrajne poglądy zawsze miały początek w poglądach na pozór umiarkowanych, jednak noszących zalążki skrajności. I jeśli nie będzie się reagować szybko, nazywając po imieniu, co przeczuwamy w tych zalążkach, skończyć się może bardzo różnie.

Żyjemy w świecie zglobalizowanym, co oznacza między innymi tyle, że świat ten zarazem skurczył się i poszerzył. Skurczył się o tyle, że w jednym miejscu, przykładowo w Paryżu (a nawet w jednym wagonie paryskiego metra), spotykamy ludzi z całego świata. Poszerzył zaś o tyle, że m.in. dzięki technice świat stał się niemal na wyciągnięcie dłoni, mamy dostęp do wiedzy, informacji, taki, jakiego człowiek nigdy wcześniej nie posiadał. Oczywiście niesie to ze sobą różne zagrożenia, tym niemniej płynące z tego korzyści wydają się znacznie większe.

Terroryzm jest zjawiskiem tak starym, jak stare są ludzkie cywilizacje i należy o tym pamiętać. Ludzi owładniętych rządzą nienawiści i chęcią niszczenia nigdy nie będzie brakować. Niemniej jednak w żadnym razie nie powinno się uogólniać zachowań jakiegoś znikomego procentu ludzi na całe populacje, bo taki jest stosunek między na przykład członkami organizacji ISIS (Państwa Islamskiego) wywodzącymi się z Syrii a Syryjczykami, którzy nie mają nic wspólnego z tą organizacją. Bezpieczeństwo Europejczyków powinno być priorytetem, ale zapewne ceną za nie nie powinna być, bo być nie musi na przykład nowa fala nacjonalistycznych ekstremizmów. Europa przez ostatnie dwa wieki ciężko pracowała na coś, co jest jej największym prawdopodobnie osiągnięciem, a mianowicie prawa człowieka wyrosłe na ważnej chrześcijańskiej tradycji *dignitatis umanum*. Ludzka godność oznacza, że człowiek jako osoba ludzka, każdy bez wyjątku, posiada niezbywalną wartość, która rozpoznana musi prowadzić do poszanowania jego integralności i wyjątkowości. Prawa człowieka nie znoszą więc braku tolerancji, ksenofobii, a już na pewno rasizmu.

Obcy rozpoznany i oswojony to po prostu zwykły człowiek, który ma swoje troski i radości, który zazwyczaj chce żyć godnie i nie wadzić nikomu, który może mieć inny odcień skóry, wyznawać inną wiarę, preferować inne przyprawy i smaki, ale wciąż pozostaje zwykłym człowiekiem, któremu wadzą latające bombowce nad głową czy niemożliwość

wyżywienia rodziny. Z innej strony taki obcy rozpoznany i oswojony nierzadko okazuje się po prostu ciekawym człowiekiem, staje się przyjacielem rodziny, wnosi do naszego świata coś nowego, często niezwykłego, poszerza nasze horyzonty i pozwala spojrzeć na świat z innej perspektywy. Różnorodność z zasady bowiem jest bogactwem. Wszystko zależy jednak od otwartości, podejścia, często wyzbycia się irracjonalnego strachu. Tak się stało w wielu zakątkach świata, Europy, tak się stało w Paryżu; pytanie, czy może stać się tak również u nas.